

ON

Siadamy i zasłaniamy sobie oczy. Ciemność i przez chwilę cisza. A potem w przestrzeni wysoki głos kobiecy śpiewający jedno słowo: "You". Zaraz dołączają do niego inne - kobiece i męskie. Zbliżają się i otaczają nas, poruszając się w przestrzeni - pisze Dariusz Kosiński.



zdz. Tomasz Jimmy Kowalski

Dwadzieścia pięć lekko zaniepokojonych, ale bardziej zaciekawionych osób wchodzi do niewielkiej sali. Verity, której imię pochodzi od łacińskiej veritas, miłym tonem dobrze wychowanej Angielki prosi wszystkich noszących okulary o ich zdjęcie i pozostawienie na zielonej tacy. Wskazuje nam rozstawione w głębi sali krzesła i mówi, byśmy siedli, gdzie nam będzie wygodniej. Mamy też zasłonić sobie oczy leżącymi na oparciach opaskami. "To jest doświadczenie intymne - dodaje spokojnym tonem stewardessy opowiadającej o "mało prawdopodobnym wypadku lądowania na wodzie" - więc jeśli ktoś z was poczuje się niekomfortowo, niech podniesie rękę, a my go wyprowadzimy

z sali". Nikt nie daje po sobie niczego poznać, ale niepokój lekko wzrasta.

Siadamy i zasłaniamy sobie oczy. Ciemność i przez chwilę cisza. A potem w przestrzeni wysoki głos kobiecy śpiewający jedno słowo: "You". Zaraz dołączają do niego inne - kobiece i męskie. Zbliżają się i otaczają nas, poruszając się w przestrzeni. Słysząc delikatny szmer kroków, ale nad wszystkim góruje podróżujące wokół to wezwanie: "Ty". Melodia jest prosta, ale jej rozłożenie na dynamicznie zmieniające się plany dwudziestu pięciu głosów, sprawia, że dźwiękowa tkanina zaplata się w wyrafinowany wzór. Usiłuję go śledzić, słuchać, ale w głowie wciąż powraca pytanie: co będzie dalej. Bo przecież wiemy, że nie skończy się na

sluchaniu kompozycji z zasłoniętymi oczyma. Verity zapowiadała, że chodzi jej nie tylko o to, by słuchacze przestali się gapić i skupili na głosach, ale też, by te głosy poczuli swoimi ciałami. By "dźwięk ich uderzył", dotknął.

Teraz. Głos staje przede mną i dotyka moich dłoni, delikatnie, ale zdecydowanie kładzie moje ręce na swoich przedramionach i lekko dźwiga nakazując wstać. Po chwili przesuwam moje ręce, najpierw jedną, potem drugą na swoje plecy. Sam obejmuje mnie i po chwili stoimy przytuleni. Głos nie milknie. Śpiewa wtulony we mnie i mam wrażenie, że jeśli go nie będę trzymał - osłabnie. Głowa się nie wyłącza i przelatuje przez nią myśl, że z zewnątrz musi to wyglądać strasznie śmiesznie, bo choć mój Głos jest wysoki, to jego kobiece ciało jest znacznie niższe i tak przytuleni na pewno tworzymy groteskową parę. Dobrze, że nas nikt nie widzi...

Po chwili głos odsuwa się ode mnie na niewielki dystans, ale cały czas trzymamy się w ramionach. Pieśń staje się dynamiczna, przypomina bałkańskie wokalizy, budzi echa gardzienickich "Metamorfoz". Ale to tylko chwila, bo znów powraca bliskość, teraz nawet większa. Głos opiera głowę na mojej klatce piersiowej tak, że czuję jego wibrację w swoim ciele. Kto śpiewa? Skąd brzmi Głos, który wibruje we mnie?

Wszystko dzieje się bez pośpiechu, ale i bez zbytej celebracji. Jest bardzo proste w swojej precyzji i odosobnionej oczywistości. Sam czuję się w tej prostocie oczywisty i jest mi z tym dobrze. Ale wiem, że to nie może trwać długo. Przy każdym ruchu Głosu pojawia się niepokój, że to już koniec. Ale jeszcze stoimy, kołysząc się lekko w rytm pieśni. To nie teraz, prawda? A jednak - znów ręce na przedramionach, moja prawa pociągnięta do tyłu, by poczuła oparcie krzesła, na którym z powrotem siadam, ciężkim, głuchym już ciałem. Ostatnie muśnięcie dłoni. Pieśń bez słów na pożegnanie. I gdy myślę, że to koniec - jedno, krótkie dotknięcie ramienia - delikatne, ale nieodwołalne jak śmiertelny cios. Głosy oddalają się, powoli milkną. Cisza. Veritas nam dziękuje. Zdejmujemy opaski i wychodzimy. Żadnych głupich oklasków. Mam wrażenie, że wszyscy przez chwilę uciekają od siebie, by dopiero na zewnątrz, w pełnym sierpniowym słońcu wrócić do rozmów z zachowaniem bezpiecznej granicy przestrzeni intymnej. Pożegnalna melodia jeszcze przez chwilę brzmi w głowie, ale potem odejdzie i za nic już nie mogę jej sobie przypomnieć.

Upalna sierpniowa sobota. W całej Polsce ludzie na wszelkie możliwe sposoby żegnają wakacje, a my w centrum Łodzi, w Fabryce Sztuki, na kolejnym festiwalu "Retroperspektywy" organizowanym co dwa lata przez Tomasza Rodowicza i jego Stowarzyszenie Teatralne "Chorea". Kilka godzin wcześniej, w czasie dyskusji o teatrze i muzyce, Verity Standen, autorka "Hug", nieco pośpiesznie odpowiadała na moje pytanie o to, jak tworzy się teatr z muzyki (nie muzyczny - to coś innego!). Spieszyła się, by doglądać przygotowań do przedstawienia, więc trochę mnie zbyła twierdząc, że nie jest artystką teatralną, tylko kompozytorką. Wkrótce potem musiała wyjść, więc nie brała udziału w dwugodzinnej dyskusji, w której prawie pokłóciliśmy się o to, po co i z czego robić teatr. Doszło nawet do tego, że Tomek Rodowicz złożył swoje credo - wyznanie wiary w sens i wartość poznawania siebie i zmieniania świata poprzez teatr.

Czekając na wieczorne przedstawienie Pawła Passiniego, siedzimy potem na zewnątrz, między dawnymi zabudowaniami fabrycznymi i rozmawiamy o Grotowskim. Tomek wyjaśnia, dlaczego po latach milczenia o nim, powrócił do dawnych doświadczeń i spotkań. Śmiejemy się, że tyle wyszło z jego "próby odwrotu", a potem zupełnie serio rozmawiamy już nie o możliwości, ale o konieczność powrotu do Grotowskiego i do teatru, który jest traktowany bez taryfy ulgowej jako droga do poznania i zmiany siebie. Rodowicz nie jest jakimś utopijnym idealistą. Jego doświadczenie w pracy z ludźmi, a także w organizacyjnej i finansowej szarpaninie jest zbyt duże, by traktować jego słowa jak wyraz naiwnej utopii. To nie są gorączkowe wyznania naiwnego młodzieńca, który przy pierwszym zderzeniu ze ścianą może wystraszyć się i wycofać. To wiara kogoś, kto nabił sobie wiele guzów, ale i rozbił wiele ścian. Wiara, w którą można uwierzyć.

Przez cały dzień i długo w noc, między budynkami i w dostępnych salach siedzą grupki ludzi. Nie byłem u "Choreutów" od lat, ale przecież znam większość z tych, którzy tu przyszedli. Spotykam też kilkoro bardzo dobrych znajomych, z którymi się w żaden sposób tu nie umawialiśmy. Pojawiają się całkowicie niespodziewanie, lecz ich obecność jest zupełnie oczywista. Jesteśmy przecież u siebie. Na OFFie.

Czym jest OFF - zdefiniować nie sposób. Wiem, bo próbowałem na różne sposoby i przy różnych okazjach, także współtworząc czekający wciąż na zielone światło program stałego wspierania działalności teatrów niezależnych OFF Polska, którego współinicjatorem też jest

Tomasz Rodowicz. Jak w przypadku wielu innych ważnych zjawisk, wszelkie definicje okazują się nieprecyzyjne, nie dlatego, że to, co opisują jest niekonkretne czy mgliste, ale dlatego, że bardzo trudno znaleźć słowa równie proste i oczywiste jak to, czego się doświadcza. Na potrzeby programów i książek edukacyjnych definicji trzeba szukać, ale w końcu powiedzmy sobie szczerze, między nami - ci, dla których OFF jest ON, bardzo dobrze wiedzą, czym on jest. Wystarczy być.

Na "Retroperspektywach" "Znak Jonasza" Pawła Passiniego brzmi zupełnie inaczej niż na "Gorzkich Żalach". Nie tylko dlatego, że jest sierpień i Wielki Post wydaje się dalekim wspomnieniem. Także dlatego, że literackie pasaże Artura Pałygi, które mogły przekonywać warszawską publiczność, tu wydają się trochę z innego świata, jak wspaniałe postawiony głos Mariusza Bonaszewskiego - głos anioła-perfekcjonisty, logosu bez ciała. Z tego świata są natomiast cztery Marie, które wobec nas toczą swoją walkę, każda o siebie i dla siebie. Pytanie o dopuszczalność nagości w przedstawieniu o śmierci Jezusa nie wydaje się tu nawet śmieszne. Nikomu po prostu nie przychodzi do głowy wobec tego, czego świadkami czynią nas obnażone ciała aktorek.

Po przedstawieniu kolejne rozmowy: o "Znaku Jonasza", o doświadczeniu kobiecym opowiadanym przez mężczyzn, o zapomnianych technikach kultury tworzących nas, o naszym nadmiernym skupieniu na znaczeniach i żonglowaniu nimi. Zmęczenie i poranna pobudka powoli dają znać o sobie, więc choć to dopiero początek nocy w Fabryce Sztuki, zaczynam się zbierać. Gdy wychodzę, na scenie plenerowej trwa koncert Teodossija Spasowa - Milesa Daviesa bułgarskiego fletu pasterskiego, jak tłumaczy mi Paweł Passini, który odprowadza mnie kawalek, żebyśmy mogli dokończyć rozmowę o czekającym nas wkrótce wspólnym projekcie.

Idę Piotrkowską - dolną, spokojniejszą częścią, więc jeszcze daleko do tego ludzkiego hałasu, który o tej porze wypełnia centrum. Nie mam zamiaru tam dotrzeć. Nigdy nie czułem się u siebie w żadnym centrum. Skręcam w bok i myślę z wdzięcznością o kończącym się dniu.

Na zdjęciu: próba spektaklu "Hug" Verity Standen z Wielkiej Brytanii